

światło na jej prześliczny, subtelny profil o krótkim, prostym, ruchliwym nosku i miętko zaokrąglonej brodzie.

— Doprawdy, to nie to... Dziękuję panu bardzo... Ja wiem przecież, że pan tak z życzliwości... ale doprawdy nie potrzebuję... Mam na drogie... Mani jeszcze całe dwadzieścia koron!...

Józia tak mało w ostatnich kilku miesiącach posiadała pieniędzy (dużo nie miała ich nigdy), że nie zdawała sobie sprawy z naiwności i komizmu swego powiedzenia.

Ale Larchówna parsknęła krótkim, urwanym, niewesołym śmiechem, a Jurek zrobił minę, która wyrażała bezgraniczne zdziwienie.

Nie mógł się połapać w sytuacji. Słyszał przecież, że Żarnicki są to ludzie bardzo zaможni.

— No, skoro pani posiada takie kapitały, to co innego... — powiedziała Larchówna z resztką śmiechu w głosie — Czy to jeszcze pozostałość po owej broszce?

Zatrzepotały się powieki, długimi, jedwabistymi rzesmami obrzeżone — zmącił się czysty błękit źrenic Józinych... Tępym wzrokiem w okno patrząc, młoda kobieta odpowiedziała cicho:

- Broszka już wykupiona...
- Tak?... A kóż ją wykupił?...
- Świekra...
- To ona wie?
- Wie...

Jurek słuchał i nic nie rozumiał.

Jakoś dziwnie ciężko opuszczała się Józia na krzesło i zaplotała na kolanach ręce. Głowa pochylała się nisko ku piersiom. Wiośniana twarz postarzała się przez dwie małe fałdki koło ust, tak mocno, tak ponuro zacisnęły się wargi.

Milczała. Larchówna i Jurek nie odzywali się także, intuicyjnie odczuwając, że Józję w tej chwili lepiej pozostawić samej sobie.

A ona przeżywała myślą wypadki ostatnich dni.

Nazajutrz po owej brutalnej scenie, kiedy to pani Żarnicka uderzyła synową, Joasia przyniosła Józję zalepioną kopertę.

— Pani przysyła — powiedziała pokojówka. Wzrok służącej klął Józję beczelną drwiną i jednocześnie płonął ciekawością.

Co też może być w tym liście? Joasia próbowała go przejrzeć pod światło, ale niczego się nie dowiedziała, bo koperta była podklejona bibułką.

Teraz nie ruszała się z miejsca, jakby czekając, rychło młoda mężatka list otworzy. Ale Józia pamiętała o obecności tej nieżyczliwej dziewczyny.

— Na co Joasia czeka. Może Joasia już iść.

Służąca rzuciła jej złe, wyzywające spojrzenie.

— Owa! — zamruczała, idąc jednak ku drzwiom. — Cóż to, poświęcane miejsce, czy cesarskie, że postać nie można? Jakie grymasy pańskie!... A to jeszcze niewiadomo, kto większa pani!...

Hałaśliwie zatrzasnęła drzwi za sobą.

Wtedy Józia drżącymi palcami rozerwała kopertę, ale przez chwilę nie miała odwagi wyjąć listu.

Może mnie wypędza?... — przemknęło jej przez myśl.

I dziwna rzecz. Przypuszczenie to nie przerażało jej wcale. Przeciwnie.

Zdecydowała się wreszcie przeczytać to, co jej pisze pani Żarnicka.

Ze środka złożonego we dwoje arkusika wypadł banknot dwudziestokoronowy. Treść była krótka i zwięzła: „Te dwadzieścia koron muszą ci starczyć na całomiesięczne wydatki. Broszkę wykupiłam, ale gdybyś się ośmieliła znowu robić poza moimi plecami dług, to pożalujesz tego. Do stołu masz przychodzić regularnie, bez fochów, rozumiesz? Taka jest wola Konrada i moja!”

Zakrzywiły się kurczowo palce Józii i jej targać list w drobne strzępki. Podarła go, zdeptała nogami i zmiawszy banknot w dłoni, porwała się ku drzwiom.

Rzucić jej! Rzucić w twarz tej podłej, nienawistnej kobiecie jej wstrętne pieniądze!

Zanim jednak zdążyła wybieść z pokoju, spojrzenie jej padło na stojącą na biurku fotografię męża.

Zatrzymała się nagle. Stała jak wryta, dyssząc ciężko.

Tak, pójdzie! Ciśnie Żarnickiej w twarz ten banknot, na obelgę odpowie obelgą, ale co potem?... Co dalej?... Co powie na to Konrad?...

„Taka jest wola Konrada i moja...”

— A ja?... A ja?... Czyż nie mam własnej woli?... — buntowała się Józia.

— Jakaż ja mogę mieć wolę?... Iść z tego domu?... Stracić Konrada na zawsze!... Do tego właśnie dąży ona!...

Józia wiedziała już, że Konrad za nią nie pójdzie, ale ona musi trwać przy nim mimo wszystko.

Mimowolnie spojrzała Józia w lustro, naprzeciw którego stała i przestraszyła się sama swej zielonkawo-bładej z gniewu twarzy i zsiniałych ust.

Długą chwilę jeszcze walczyła ze sobą, zmagając się, przenosząc wzrok z fotografii Konrada na ściskany w dłoni banknot, jakby pomiędzy tymi dwoma przedmiotami istniał jakiś tajemniczy związek.

„Taka jest wola Konrada i moja!”

Fotografia zwyciężyła... Z rozwarłej ręki upadł na podłogę banknot...

Józia zrozumiała, że jeśli chce zostać w tym domu do powrotu Konrada, to musi stać się jeszcze eichsza, jeszcze pokorniejsza, jeszcze ustepliwsza...

Podjęła z ziemi dwudziestokoronówkę, wygładziła ją i schowała do szufladki.

Na obiad poszła do jadalni, gdzie zastała już świekrę i szwagierkę. Pani Żarnicka nie drgnęła nawet, nie obróciła głowy, zdała się nie spozstrzegać synowej... Za to z czarnych oczu Loli strzelił groźny płomień.

Na cichu Józine „dzień dobry” nie było odpowiedzi.

Po obiedzie pani Żarnicka bez słowa wręczyła Józii małe pudełeczko. Przy tem spojrzała na nią po raz pierwszy tego dnia, ale z taką nieopisaną pogardą, z takim wstrętem, jakby miała przed sobą nie człowieka, ale jakieś obrzydzenie wzbudzające zwierzę.

Józia zdobyła się na to, że drżącymi wargami wyszepała:

— Dziękuję...

I znowu nie usłyszała odpowiedzi, nie oczekiwała jej zresztą.

Odmienne, niż do tego czasu, ukształtowały się stosunki pomiędzy panią Żarnicką a Józją. Pozornie zdawać się mogło, że są znośniejsze, w istocie jednak były gorsze.

Burzliwe awantury ustały. Otwarta, głośnie wojna przycichła, ustępując miejsca milczącemu wrzeniu, stokroć bardziej zjadliwemu i przepojonemu nienawiścią.

Podczas wspólnie spożywanych posiłków, pani Żarnicka zwracała na synową mniej uwagi, niż na stojącą w kącie spluwaczkę. Traktowała Józję tak, jakby jej wcale nie było.

A jednak młoda kobieta czuła, że od tej wysokiej, imponującej kobiety płynie ku niej prąd wrogi, groźny, że świekra przyczaiła się tylko i czeka. Na co? Niewiadomo.

A i Józia siedziała przy stole najczęściej z opuszczonymi na oczy powiekami, aby ukryć zapalające się w nich iskry nienawiści.

Przelykając zupę lub gryząc mięso, prowadziła sama ze sobą w myśli gorącą zaprawną rozmowę.

— Widzisz, tutaj siedzi kobieta, która cię chce zniszczyć, zgnieść! Zatrutą ci życie... i chce ci odebrać Konrada, wiesz ty o tem? I w twarz cię uderzyła, pamiętasz!... W twarz, jak ostatnią niewolnicę!... I za co?!

Józję chwyla dzikie, szalone pragnienie, aby wazę z gorącą zupą, albo półmisek z pieczeniem rozbić o głowę świekry.

Panuje jednak nad sobą i je dalej, tylko coraz wolniej.

— Nie mogę... Nie mogę... — odpowiada sama sobie, z jakimś wewnętrznym jękiem. — Muszę być cicha... pokorna... O! Konradzie! Konradzie!...

A Konrad pisze rzadko i tylko krótkie, suche, nic nie znaczące kartki...

Prawdziwą ulgą były dla Józii dni, kiedy nie potrzebowała przychodzić do wspólnego stołu. Bywało to wówczas, kiedy do Żarnickiej przychodzili goście, albo kiedy na obiad czy kolację zaproszono Koszczyca.

Gwary ożywionych rozmów i wesołe śmiechy dochodziły nieraz do pokoju, w którym samotnie błakała się między czterema ścianami Józia...

Książek nie miała do czytania żadnych, a do Larchówny bała się iść... Nie śmiała zaśpiewać, nie miała do kogo przemówić słowa... Czasem szyla coś, naprawiała, prała, ale roboty nie starczyło nigdy na długo i Józia znowu nie wie-

działa, co robić z czasem, który włókił się powolny, uprzykrzony.

Najczęściej rzucała się na łóżko i wtuliwszy głowę w poduszkę, trwała w jakimś pół śnie — pół marzeniu.

Niekiedy jednak zrywał się w niej taki bunt, że pięściami chciała walić o ściany i krzyczeć w głos: „Nie mogę tak!... Duszę się!... Ginę!...”

Nie biła jednak o mury i nie krzyczała. Milczała i dławila się... Wybiegała w takich chwilach na miasto, pod pręgierz spojrzeć ciękawych i niechętnych.

Powracała zwykle prędko, znużona upałem i zropanczona nad swoją samotnością.

„Konradzie, drogi mój, źle mi!... Złe mi!...” zaczęła raz pisać do męża, ale nie wysłała listu. Cóż on jej pomoże.

Coraz silniej nuriowało w Józii i dojrzewało pragnienie wyjazdu z Łykowa choćby na czas jakiś... Odechnąć innym powietrzem, odżyć innym życiem!

O Zalesinkach marzyć nawet nie mogła, ale i do ciotki nawet pojechałaby chętnie, a cóż dopiero do Krakowa!

Dzisiaj zebrała ją znowu taka tęsknota za słońcem, za ruchem, za gwarem ludzkim, że wybiegła z domu i przez kilka godzin błądziła sama po dusznych, rozpalonych skwarem ulicach.

I spotkała Jurka.

Szary zmrok wpelzał do pokoju, stał po ścianach cień. Zacierały się rysy osób i niewyraźnie już majaczyły się kontury mebli...

Józia siedziała jeszcze nieporuszona i milcząca...

Larchówna powoli, ociężale dźwignęła się z sofki (zmęczona całodzienną gorączkową, pospieszną krzątaniem, czuła w całym ciele znużenie).

Delikatnie ujęła Józję za ramię i zatrząsała ją lekko.

— Pani Józio!... Co to znowu takiego? Czego pani siedzi jak posąg? O czym pani myśli?!

Józia westchnęła głęboko, jakby ze snu zdubdzona.

— Panno Tereniu! Gdyby pani wiedziała...

— Może i wiem, bo ze mnie to diablo domysłna kreatura... Ale nie trzeba się tyle trapić, moja śliczna. Szkoda młodości, zdrowia, urody... Jurek! Rozweselże panią.

— Gdybym mógł tylko... gdybym umiał... — odpowiedział chłopiec.

W szarości znierrzchu niepodobna było zaobserwować ani gry jego rysów, ani wyrazu oczu. Głos tylko miał bardzo smutny.

Znowu zapanowało milczenie, ale tym razem nie na długo. Przerwał je Jurek.

— Pani Józio, jakże z tą jazdą do Krakowa?!

Pani decyduje się? Pojedzie pani?

Pytał, ale pytanie to było zarazem gorącą, błagającą prośbą.

Może czuł, jak bardzo jej tego wyjazdu potrzeba.

Józia przez chwilę nie odpowiadała. Nagle, jak rozweselone dziecko, uderzyła w dłonie i rozradowanym głosem zawołała:

— Pojadę!... pojadę!... otóż pojadę!... Z panem będzie mi raźniej!...

Ucieszona własną decyzją i nadzieją zmiany, zaśmiała się głośnie, jakby zapominając o wszystkim, co ją dręczyło i przygniało.

— Pojadę!... Pojadę!...

— „Szczęśliwa młodość, nawet smutki zaprawne ma rozkosz, dzień szczęścia długi, żalu krótki” — zadeklamowała półgłosem Larchówna, układając się ponownie na sofce.

— O! Jak to dobrze, że się pani decyduje — zawołał radośnie Jurek.

— A jakim pociągiem pan jedzie?

— Ja chciałem jechać nocnym. Daleko dogodniejszy, niż południowy. Gdyby jednak pani wolała...

— Ależ nie, mnie wszystko jedno. Pojedziemy nocnym pociągiem.

— Nie spóźni się pani na stację?

— Co? Jaby miala się spóźnić?!

Ja doczekać się nie będę mogła... Ale teraz muszę już iść.

Wstała z krzesła i po omacku szukała swego kapelusza.

— Jur, zapalno świecę — zawołała Larchówna — stoi na komódce. Lampy zaświecić nie mogę, bo nie mam naffy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)